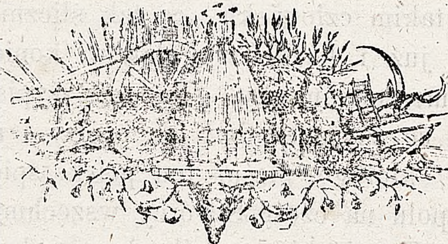
Tom XI. Nr. 2.

11. lipca 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Franciszek Karpiński.

Każdy z was, kochani bracia, zna pewno na pamięć owe piękne pieśni nabożne, któremi pobożni Polacy chwalą Pana Boga wstając ze snu i zasypiając, a z których się jedna zaczyna: *Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze,* a druga zaś wieczorna: *Wszystkie nasze dzienne sprawy — przyjm litośnie Boże prawy....*

A gdybym was zapytał moi ludkowie, kto to te pieśni nabożne tak pięknie na chwałę Bożą ułożył, czy wiedzielibyście, co na to odpowiedzieć?....

No już to co prawda to nie grzech; nie każdy z was mógłby na to jak przynależy dać odpowiedź, boć to i trudno aby człek od pługa i roli wiedział jak się patrzy o wszystkiem. Ale przecież i niejeden kmiotek, jeżeli mu się trafiło nauczyć się czego za młodu a potem w święto i niedzielę do jakiej xiążki zaglądnął, nie dałby się powstydzić i powiedziałby zaraz, że te pieśni ułożył pewien rodak nasz zacny, co się nazywał Franciszek Karpiński.

Ktoby tak odpowiedział, miałby prawdę świętą, bo nie kto inny, jeno ten Franciszek Karpiński takie piękne pieśni nabożne ułożył. Zaś o takim człowieku, co tak ślicznie oddał chwałę Panu Bogu, to już i każdemu Polakowi koniecznie wiedzieć wszystko dokumentnie należy. To też wypisujemy wam tu w Dzwoneczku, co za jeden był ten mądry i nabożny Franciszek Karpiński, którego pieśni lud polski spiewa w kościele, w chacie i na polu na cześć Stwórcy wszechmocnego.

Franciszek Karpiński urodził się w roku 1741 w Hołoskowie między ruskimi góralami, co to mieszkają w kołomyjskim cyrkule. A już to w sam dzień urodzenia Pan Bóg uchronił małego Franciszka od niebezpieczeństwa i zachował go prawie cudem na świecie. Bo to musicie wiedzieć kochani ludkowie, że w tych górach kołomyjskich to huk było rabusiów, czyli jak ich tam zwali opryszków. Hersztem tych opryszków był jeden okrutnie odważny chłop, co się zwał Dobosz i napadał z swoimi kamratami na wsie i miasta, rabując wszystko, co się dało.

Otoż na kilka godzin przed urodzeniem Franciszka przyjechał sąsiad do jego ojca i z wielkim strachem mu mówi:

— Wiesz co kochany sąsiedzie, zbój Dobosz ma napaść dziś w nocy na twój dom, uciekaj tedy póki możesz!...

Okrutnie się przeraził ojciec Franciszka i nie myśląc długo zabrał co mógł i wyniósł się z domu. Ale żony to już nie mógł wziąć, bo była bardzo słabą, więc polecił ją Panu Bogu i to dziecko, które na świat wydać miała. Mamce zaś co była przy chorej nakazał, aby dla Dobosza i innych rabusiów przygotowała gorzałki, chleba, masła i innego jadła, i raczyła ich po ludzku a prosiła, aby matce i dziecku nic złego nie zrobili.

Zaledwie ojciec uciekł do lasu przed zbójcami, kiedy żona jego powiła syna Franciszka. Dopiero godzinę całą było na świecie małe dziecię, kiedy naraz z wrzaskiem i trzaskiem napadli na dom rabusie. Gdy wskoczyli do izby, nie zastali nikogo jeno matkę i mamkę, która na ręku nowonarodzone dziecię piastowała. Matka na widok rabusiów z fuzjami i nożami zemdlała, ale mamka za to nie odeszła od rozumu, jeno trzymając maleńkiego Franciszka na ręku, rzekła do samego najstarszego zbójcy Dobosza:

— Oto godzina dopiero minęła, jak to dziecię się narodziło, miej pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiacą i nie rób tu żadnej przykrości, kiedy cię jak dobrego gościa przyjmujemy!

Zmiękczyło się serce rozbójnika i nakazał swym towarzyszom, aby broń Boże nic złego nie robili w domu. Potem zasiadł do stołu, co go mamka gorzałką, chlebem i serem zastawiła, i jadł spokojnie wraz z innymi. Kiedy już odchodził, to wyjął z torby trzy czerwone złote i dał je mamce, mówiąc:

— No już to ja także człowiek a nie żadny zwierz dziki i nic wam złego nie zrobię. A proszę was pięknie, dajcie temu dziecku na moją pamiątkę imię Ołeksa, bo ja się także tak po ruskim chrzcie nazywam!

Potem zawołał na innych zbójów i wyszedł z domu po ludzku. Kiedy ojciec wrócił do domu, bardzo się dziwował nad tym przytrafunkiem i dziękował Panu Bogu, że mu żonę i dziecko uratował. Zaś nie nazwał synka na chrzcie św. tak jak chciał ów Dobosz, jeno dał mu imię Franciszek.

Od tego czasu chował się mały Franciszek w zdrowiu, a gdy wyrósł w lata, to się bardzo dobrze uczył i tyle rozumu okazywał, że zaraz przewidzieć można było, że z niego będzie kiedyś bardzo mądry i sławny człowiek. Skoro już doszedł jakich lat dwadzieścia, już począł prześliczne składać spiewanki, że aż ludzi za serce chwytało. Bo to już Pan Bóg dał mu taką władzę, że co jeno chciał, to tak zaraz wierszami do składu ułożył, że się i odsłuchać nie było można.

A już to najpiękniejsze pieśni układał Franciszek Karpiński na chwałę Bożą, a potem zaś pisał spiewki piękne o was, kochani kmiotkowie, i o ziemi swojej rodzinnej, bo po Bogu to ludek wiejski i ojczyznę kochał najbardziej ten zacny pisarz i pobożny Polak.

A przytem wszystkiem był ten Franciszek Karpiński bardzo dobrym i serdecznym młodzieńcem, i choć go Pan Bóg takim rozumem obdarował, to był zawsze cichym i skromnym, jak na każdego uczciwego człowieka przystało. Zaś ojca swego kochał bardzo i był mu posłusznym zawsze i we wszystkiem,

i nigdy ani jednego słówka złego nie odmruknął na jego rozkaz, jak to nieraz inni czynią.

Nie potrzeba więcej, jeno jeden wypadek wam opowiedzieć, a zobaczycie, jak ten sławny wierszopis Franciszek Karpiński szanował swego ojca.

Kiedy już Franciszek był męczczyzną pod wąsem i wszystkie szkoły co do jednej pokończył, przyjechał był do domu odwidzić swego ojca, co już był stary bardzo. Otoż kiedy raz tak rozmawia z swym ojcem, przystąpił tenże do niego i aby wypróbować pokorę swego syna, uderzył go nagle w twarz. No i cóż wy na to? Czy myślicie, że Karpiński rozgniewał się na ojca choć go niewinnie tak ciężko pokarał?... Toć pewnie, że lada inny chłopczysko byłby tak zrobił i możeby nawet ojcu jakie złe słowo odpowiedział, ale Karpiński takie miał pokorne serce dla ojca, że ani słówka nie powiedział, jeno zniósł krzywdę w milczeniu, spuścił oczy na dół, czekał co dalej będzie i nie pytał się nawet, za co go ojciec tak pokarał!...

Kiedy ojciec zobaczył tę pokorę swego syna, bo jak wam już powiedziałem, chciał jeno wypróbować jego serce, zarazci przyskoczy do niego i począł go ściskać i całować z wielką miłością.

Aż się rozpłakał starowina, że ma takiego dobrego syna i zawołał z płaczem:

— Synu mój! Ja zwyczajnie prosty człowiek, a ty już filozof, próbowałem cię tylko, jak też przyjmiesz karę od twego ojca! Ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz: (tu ukląkł stary ojciec na środku izby i podniósł ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo zdrowo i szczęśliwie!...

Upadł do nóg Franciszek ojcu, a ten mówi dalej do niego:

— Synu mój! Szanuj ludzi a będziesz szanowany! Ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu był dany!

Otoż widzicie, kochani ludkowie, błogosławieństwo ojcowskie nie poszło w las. Bóg był łaskaw na Franciszka i pomagał mu przez życie całe. Im starszym był Karpiński, tem piękniejsze układał pieśni i wiersze, a nie zadługo to w całej

Polsce już nic innego nie spiewają ludzie, jeno jego piosneczki. Jak Polska szeroka i długa, tak już wychwalają wszyscy tego Karpińskiego, co takie piękne pieśni pisze!

Niebawem to i sam król polski, Stanisław August, co panował jeszcze w owym czasie, rady sobie dać nie może, jeno chce widzieć tego człowieka, co umie tak pięknie wiersze składać. Przywołał więc do siebie do Warszawy Karpińskiego i pokochał go bardzo, i tak go poważał jak swego starszego brata. Panowie wielcy też to samo, jeden przeganiał drugiego, aby jeno ugościć mógł takiego sławnego Polaka.

Ale Karpiński nie był wcale pysznym na swój rozum i łaski królewskie, jeno zawsze był pokornym jak dawniej. A co więcej nawet sprzykrzyło mu się życie pańskie i wszystkie uciechy miejskie, i aż mu serce pukało za wsią i za ludkiem polskim, co go to ukochał całą duszą!...

Więc też i długo nie chciał być w Warszawie, jeno mówił:

— Dobrze mi tu u was, ale lepiej mi w domku wiejskim i przy chłopkach poczciwych! Już ja tu w Warszawie długo nie wytrzymam, jeno wrócić muszę na wieś!...

I jak powiedział tak zrobił, wrócił pod strzechę ojcowską i tam żył nabożnie i mnóstwo jeszcze pięknych spiewanek ułożył, a gdy umarł, to znajomi jego tak po nim płakali, jakby po najbliższym jakim krewniaku.

Podumka nad pługiem.

Pługu mój drogi, pługu poczciwy!
Gdy prujesz ostrem żelazem,
Tę ziemię moją, te moje niwy,
Smutnym i wesół zarazem!...

Pługu mój drogi, pługu mój stary!
Nie jeden rok ty na świecie,
Tyś z siwym włosem moim do pary,
Obu nas starość już gniecie!...

Tobą to swoje krajał zagony
Jeszcze mój ojciec sędziwy —

A gdy mu na śmierć jęknęły dzwony,
Tyś został! pługu poczciwy!...

Kiedy przy ojca płakałem zgonie
Rzekł patrząc na mnie z tęsknotą:
„Masz pług ten stary i zdrowe dłonie,
„Nie będziesz synu sierotą!...

„Pracuj tym pługiem na polskiej roli
„Jak wszyscy polscy oracze,
„Bo serce ojca w grobie zaboli,
„Jeśli uczynisz inaczej...“

Owoż pracuję aż do starości
Wraz z tobą pługu mój stary!
I póki w grobie nie złożę kości
Dotrzymam tobie ja wiary!...

Orzem już długo tę rolę czarną
A skąpe było nam żniwo,
Nie jedno poszło w życiu nam marno,
I dola poszła nam krzywo!

Oj! choćbyś zorał i Polskę całą,
Nie znajdziesz bracie ty doli!
Dużo krwi znajdziesz — kości nie mało,
Aż serce ciężko zaboli!...

Nie długo tobą, pługu ojcowski!
Orać ja będę znękany,
Będziesz — gdy stanę już przed sąd boski,
Sierotą pługu kochany!

Gdy mi powieka przed śmiercią zwiśnie,
Twe mi żelazo zaświeci,
I stara szabla nad łożem błyśnie,
Oboje polskie to dzieci!...

Życie przebiegło jak senna mara,
Drżącemi żegnam was słowy:
„Bywaj mi zdrowa ty szablo stara,
„Pługu kochany bądź zdrowy!....“

W. z S.

Bartek hajduk
i jego przygody między Turkami.

Opowiedział Wojtek ze Smolnicy.

Już temu nie zadługo 300 lat będzie, kiedy pan Hieronim Łaski zebrał sobie nie małą garść wojaków, aby pójść na pomoc xięciu, czyli jak go zwano inaczej, hospodarowi wołoskiemu Radule przeciw Turkom. Bo trzeba wam wiedzieć, że ten hospodar Raduła w wielkich był kłopotach, bo go Turcy zewsząd najeżdżali. Mnóstwo tam było pogan, a Raduła nie miał tyle wojska, aby się opędzić od tego plugastwa.

Żal się owo zrobiło panu wojewodzicowi Hieronimowi Łaskiemu biednego hospodara Raduły, a że za dawnych czasów panowie polscy nie żałowali ani krwi ani mienia, byle tylko stanąć w obronie świętej wiary chrześcjańskiej, więc też pan Łaski nie namyślał się długo, ale razu pewnego sprosiwszy sąsiadów i zgromadziwszy swoje sługi, zawołał:

— Panowie bracia! Kto mój przyjaciel i dobry katolik, niechajże ima za szablę, siada na konia i hejże za mną do Wołoszy na brodacza Turka!...

Sąsiedzi duchem się zgodzili a i słudzy wierni skoczyliby byli w ogień za swoim panem, więc ni ztąd ni zowąd zebrała się nie mała kupka i nuż za panem Łaskim na wojenkę!

Zaś między sługami pana Łaskiego znajdował się i hajduk Bartek. Skoro zobaczył, że się wszyscy zbierają na wojnę, takci i jemu markotno było zostać w domu, więc siadł tam na jakąś szkapinę, przypasał jakieś pordzewiałe szablisko, i pojechał za innymi. A był Bartek chłop jak Barabasz, wysoki jak jodła, a silny, że aż strach zbierał. Że zaś nie miał ani zbroi jak się patrzy, ani też nie znał się należycie na wojackiem rzemiośle, to go nie mogli postawić między prawdziwych wojaków, jeno kazali mu jechać z innymi hajdukami przy wozach i pilnować je od napaści.

Nie zadługo wojsko pana Łaskiego stanęło na ziemi wołoskiej, a w sam czas właśnie przybyło, bo wojska tureckiego

huk się już nazbierało. Okrutnie się rozradował hospodar Raduła, kiedy ujrzał, że mu tyle chwatów przybyło, i myślał, że Turków rozpędzi na cztery wiatry, ale mu snać palec Boży sądził inaczej...

Bo to gdziekolwiek było spojrzeć, wszędzie Turków jak maku. Zaś sam hospodar Raduła maluczko miał wojska, a i naszych było dziesięć razy mniej niż pogan. Rozpoczęła się bitka, nasi wywijali szablami jak wrzecionem, i gdzie tylko zabłysnął pałasz polski, zaraz się potoczył jeden łeb turecki na ziemię. Narąbali się tam Polacy pogaństwa jak kapusty, ale cóż kiedy tam tego niedowiarstwa była moc nieprzebrana! Dużo się krwi chrześcjańskiej polało, tureckiej jeszcze więcej napiła się ziemia — ale koniec końców Chrześcjanie nie mogli sobie dać rady i Turcy wygrali.

Kiedy już poganie ujrzeli, że wojsko chrześcjańskie cofa się z pola, zarazci rzucili się na wozy, aby je wraz z wszystkiemi pakunkami zrabować. Bartek hajduk, który stał przy wozach i przypatrywał się bitwie z daleka, bo choć go dłoń świerzbiała, nie mógł odstąpić z warty — zobaczył naraz, że ni ztąd ni zowąd czarna ćma pogan wali się ku niemu obcesem.

Pomiarkował, że źle, ale nie stracił jeszcze głowy, jeno przeżegnawszy się znakiem krzyża świętego chwycił za swoją szablinę, aby przynajmniej z bronią w ręku, po polsku oddać ducha Bogu

Ale to wszystko było już za późno. Nim Bartek zdołał zawinąć swą szablą, już go kilku Turków powaliło na ziemię jak barana, odebrali mu broń i popędzili razem z innymi niewolnikami do swego obozu.

Okrutny strach przejął Bartka i aż mu zęby jak szyba zadzwoniły. Myślał na pewno, że i godziny nie minie a Turcy go powieszą na pierwszym lepszym haku, albo w najlepszym razie przykują łańcuchem do swoich czółen, aby w głodzie i chłodzie aż do śmierci robił przy wiośle, jak to inni niewolnicy chrześcjańscy czynić musieli. Przypomniały mu się wszystkie straszne historye, które mu opowiadali doma ludzie o niewoli tureckiej i aż mu czupryna od zgrozy kolcem się najeżyła na głowie.

Wlecze się tedy za Turkami Bartek jak na szubienicę, a co krok postąpi to jeden pacierz zaczyna, a żadnego skończyć nie może, bo mu zęby kłapią od wielkiego strachu, jak bocianowi...

Nasprowadzali poganie jeńców ze wszystkich stron ilość ogromną, a wszystkich ustawili w jedną kupę. I Bartka zawlekli do tej gromady poganie, pilnując dobrze aby żaden z pojmanych Chrześcjan nie uciekł. Bartek rozgląda się do koła siebie i widzi, że tuż obok niego jeszcze mnóstwo innych jest jeńców, ale cóż kiedy on ze wszystkich był najwyższy i prawie o całą głowę sterczał po nad całą gromadę!

Jeszcze większy strach zebrał Bartka, kiedy ujrzał, że jego głowę najbardziej widno z tłumu i myśli sobie:

— O na Jezusa! A cóż ja pocznę nieszczęśliwy! Moja głowa sterczy do góry, jak arbuz na tyce, toć jak przyjdzie starszy pogański, to najpierwej zobaczy moją głowę i ściąć każe jak makówkę!...

I frasując się tak o siebie przykucnął Bartek na kolana, aby głowę schował między innych. Ale co Bartek przycupnie na kolana, to janczary tureckie zaraz go pod żebra, aby wstał, bo myśleli, że chce uciekać.

Trzęsie się Bartek jak liść na drzewie i pacierze odmawia, i zębami dzwoni jak na nieszpory, i sam siebie przeklina że taki wielki urosł. Kurczy szyję jak gęś, aż kark mu trzeszczy, a głowa jak sterczy tak sterczy!...

Aż tu nareszcie ruch się zrobił wielki między poganami, rozstępują się wszyscy do koła, bo sam najstarszy jenerał turecki, co go to zwano basza, idzie oglądać połapanych Chrześcjan.

Skostniał Bartek cały i już choćby chciał nie mógł skurczyć szyji, bo mu tak od wielkiego przerażenia stwardła jak kołek dębowy!... Tymczasem starszy turecki popatrzył na niewolników, i ledwo okiem po nich przebiegł, zaraz mu wpadła w oczy głowa Bartka!..

Zaraz zobaczył Bartek, że basza pogański w niego wprost patrzy, i tak mu się czarno w oczach zrobiło, jak w nocy na nowiu.

— O Jezu Nazareński! przepadłem! — szepnął sam do siebie.

Zaś basza wskazał na Bartka palcem, a Bartkowi zdawało się, że ktoś mu szpikulcem rozpalonym pod sam nos zajechał!...

— Wyprowadzić tu naprzód tego wysokiego drągala! — zawołał basza pokazując ręką na Bartka.

— Już po mnie! — zawołał w okrutnym frasunku Bartek i aż się zatoczył na nogach.

Poskoczyli tureccy żołnierze i wywlekli Bartka przed samego baszę. Basza coś zaszwargotał po pogańsku i machnął ręką tylko, a żołnierze porwali dalej biednego Bartka za sobą.

— Pewnie na szubienicę! — woła przestraszony Bartek — a bodajżeś pękł ty pogański synu!

I począł się Bartek okrutnie szarpać z Turkami i ani rusz nie chce iść z nimi, bo myśli, że tam już hak czeka na niego pewnikiem. Turcy się szamotają i z wielką biedą ciągną Bartka z sobą, bo to był chłop okropnie silny i duży, aż w końcu zawlekli go przed jakąś budę..

Jak Bartek zobaczył budę, tak zaczął wrzeszczeć na całe gardło:

— A łotry! a psiawiary! a bezbożniki pogańskie! To wy mnie chcecie zamotłoszyć gdzieś w jakiejś jamie?... Kiedy mnie już jak zbója powiesić macie, to wieszajcież mnie na czystem polu, abym widział słonko Boże i niebo szerokie!...

Ale Bartek swoje a Turki swoje. Zanim się spojrzał, już go zawlekli do budy, posadzili go na stołek jakiś, trzymając go co siły, bo chłop się rwie jak wilk na wszystkie strony.

— Co to będzie? Co to będzie? — mruczy Bartek i szarpie się z całej mocy, ale go Turki jak obcęgami ułapili.

Aż tu naraz wychodzi jakiś czarny jak djabeł człowiek, murzyn pono i trzyma w ręku jakiś nóż błyszczący.

— A toć kat pewnie! — zawołał Bartek i patrzy już białkiem tylko na czarnego oczajduszę.

Potem zamknął oczy i gotów był na śmierć pewną...

Naraz usłyszał coś zimnego na brodzie, a potem jakieś struganie, jakby brzytwą. Roztwiera więc Bartek oczy pomału i patrzy co z nim robią?... Aż oczom swoim nie chciał uwierzyć,

kiedy zobaczył, że ten czarny człowiek mydłem go pomazał i brzytwą goli!...

Rozdziawił Bartek gębę z zdziwienia, jak wrota od stodoły i już ani rusz nie wie co ma sobie myśleć. Zaś potem mówi sam do siebie:

— A to cud jakiś boski! Poszaleli poganie czy co! Ha, co prawda, to prawda, lepiej że mnie ogolą, niż aby mi łeb ścięli albo powiesili!

I już ani słówka nie mówi dalej, jeno siedzi cicho i cierpi wszystko, co z nim wyrabiają Turcy. Tymczasem czarny cerulik turecki już go tak czysto ogolił, że mu broda świeciła się jak ohyblowana, a wtedy przyskoczyli Turcy do Bartka i poczynają ściągać z niego wszystek przyodziewek jedno po drugiem, a tak prędko, że się Bartkowi aż w głowie tumaniło...

Gdy go już rozebrali do gołego, wtedy go ciągną do izby drugiej, i tam rzucają go w wielką beczkę z ciepłą wodą, i nuż go dopiero i mydlić i parzyć i myć i szurować, że mało biednemu Bartkowi skóra nie zlazła z ciała jak łupina z gotowanych ziemniaków.

Gdy go już Turcy umyli jak się patrzy, wtedy zaczęli go czesać i smarować pachnącym olejem, a potem ubrali go w piękne suknie i wyprowadzili z budy.

Co się zaś stało dalej z Bartkiem hajdukiem, to już znowu aż w drugim numerku Dzwonka wam opowiem.

Pogadanka o tytoniu.

Siedział sobie na ławeczce przed domem pod starą lipą Szymon organista, co był człek bardzo zacny i rozumny i dziatki wiejskie uczył w szkole. A był to wieczór letni, piękniutki i ciepły że aż miło, więc też Szymon nie kwapił się do snu, jeno siedział ta patrzył na czyste niebo, na którem się już gwiazdy pokazywać zaczynały.

Kiedy tak siedzi i duma, nadchodzi naraz Tomasz Wiorek, co miał pole daleko za wsią i dla tego późno powracał do domu. Tomasz zobaczywszy przed chatą organistę uchylił kapelusza i rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiada organista — a zkąd to tak późno Tomaszu?

— A z pola — mówi Tomasz.

Zaś organista:

— Toć jeśli wam nie pilno, to siądźcie trochę, a pogadamy sobie, bo wieczór piękny, że człeku aż spać żal, choć się napracował.

Usłuchał Tomasz, siadł na ławeczce pod lipą i rzecze:

— Prawdę macie, ot chyba zakurzę sobie lulkę, ta pogawędzę z wami, panie Szymonie.

Wyjął więc Tomasz paczkę tytoniu a zdziwował się bardzo, że już go bardzo mało było i ledwie czem fajkę nałożyć starczyło, zamyślał się i mówi:

— Ot trzeba jutro znowu tytoniu kupić, także wydatek, bo grosz do grosza, to się zbierze suma. Ciekawym też, kto to kurzenie tego tytoniu wymyślił i zkąd też ten tytoń wziął się u nas, że go ludzie nie wiem dla jakiej przyczyny tyle kurzą?

A organista na to:

— Toć to nie jedną setkę lat żyli ludzie na ziemi, a nie znali jako żywo co to jest tytoń, a po narodzeniu naszego Zbawiciela Chrystusa to już dobrych półtora tysiąca lat było minęło, kiedy dopiero ludzie znaleźli tytoń.

— Hm! — powie Tomasz — a czegóżby to ludzie nie wynaleźli. Ja ciekaw jeno gdzie oni tytoń odkryli?

— No to ja wam opowiem Tomaszu — odpowie organista — jeżeli jeno posłuchać zechcecie. Już temu za jakie kilka dziesiątek roczków 400 lat minie, kiedy cudzoziemcy, a już to najbardziej Hiszpanie i Portugalczycy, co to w dalekim bardzo kraju na południe mieszkają, wybrali się na morze i szukali gdzie jakiegoś nieznanego jeszcze kawałka ziemi. A już to najsławniejszy między tymi Hiszpanami, co na okrętach po morzu pływali i nieznanych krajów szukali, był Kolumb niejaki, co póty szukał i szukał, aż póki całej części świata nie znalazł, o której jeszcze ludzie tak nic nie wiedzieli jak tabaka w rogu. Zaś tę nową część świata nazwali Ameryką. Otoż

w tych odkrytych krajach moc była rzeczy, co ich ludzie jeszcze nie widzieli i dopiero potem zwozili na okrętach.

— Aha! — mówi Tomasz — toć pewnie i tytoń tam znaleźli!

— A jużci że tak — mówi Szymon — wtedy to tam na tych wyspach rozmaitych, co na nich dzikie ludzie mieszkali, znaleźli tytoń, akuratnie tak jak ziemniaki.

— To ziemniaki także z Ameryki? — pyta Tomasz.

— A nie inaczej jeno tak — odpowiedział Szymon.

Na to Tomasz:

— No żeć tam ziemniaki znaleźli, to mieli rozum, bo to pożywienie dobre dla ludzi, i nie tak ci trudno było spenetrować, na co się ono przyda, ale co tytoń, toć jak mi Bóg miły nie wiem, zkąd się go ludziska chwycili?

— A bo widzicie — rzecze Szymon — kiedy do Ameryki Hiszpanie zapłynęli, to zastali tam dzikich ludzi, a oni sobie już kurzyli na piękne ten tytoń, a tak zwijali liście, gdyby cygara, co to w mieście ludzie palą!

— No i patrzajcie — zawołał Tomasz — i to od nich nauczyli się inni ludzie kurzyć tytoń!

— A tak — odpowiedział Szymon — jak Hiszpanie zobaczyli ten tytoń, co go kurzą tamci ludzie, więc im się zaraz to spodobało, boć tak to już na świecie, że wszystko co nowe, to podoba się ludziom. Zarazci tedy nawieźli tego ziela tytoniowego do swoich krajów i rozsyłali po całym świecie.

— A jakżeż oni tytoń zwozili, czy w liściach?

— Z początku to w liściach tylko, a potem to i nasiona sprowadzali sobie i siali po polach.

— I przyjmowało się to na obcej ziemi? — pytał Tomasz.

— A czemu nie — odpowiedział Szymon — tytoń to jest taka roślina, co bardzo łatwo przyjmuje się i rośnie na każdym gruncie. Zaś póki jeszcze zielona, to nie ma ani zapachu ani smaku, i dopiero gdy zeschnie to się robi taka ostra.

— No proszę was — pyta się dalej Tomasz — czy prędko się też ludzie przyzwyczaili kurzyć, boć to także kawałeczek sztuki, i pamiętam co mi się bywało nazawracała głowa, kiedym młodym chłopakiem jeszcze próbował nauczyć się lulkę kurzyć?

— Ano! — mówi Szymon — jakoś się wprawił świat cały do tego tytoniu, choć gorzki i ostry i kurzyli potem młodzi i starzy na piękne. Zrazu to królowie i biskupi strasznie się gniewali na ten tytoń i surowo zakazywali go palić. Xięża to nawet w kościołach ludowi zakazywali, aby fajki nie kurzyli, ani nie zażywali tabaki, co także robi się z tytoniu.

— A czemuż to tak? — pytał Tomasz.

— Trzeba wam bowiem wiedzieć — odpowiedział Szymon — że zielsko to zrazu bardzo nieprzyjemnem było ludziom, a choć jaki taki kurzył, to drugi się srożył na to. Bo też i tytoń ma w sobie bardzo wielką truciznę, co się nazywa Nikotyn.

— Oj, oj! — woła Tomasz — truciznę! ano patrzcie! — i wyciągnął prędko fajeczkę z zębów.

— No no — mówi Szymon — nie strachajcie się bardzo, bo to tej trucizny w tytoniu bardzo mało, i trzebaby dopiero maszyną dusić z jaki cetnar tytoniu, aby z niego trochę tej trucizny wydusić. Zaś w jednej lulce to jej nie ma i odrobinki. A taka to trucizna straszna, że jakbyś umoczył w nią igłę i przyłożył do języka, to ci zaraz zczernieje i stwardnieje jak kołek.

— No to przecież to źle kurzyć tytoń! — mówi Tomasz.

Zaś Szymon:

— A jużci, że robi lepiej, kto go nie pali, ale kto się już wzwyczaił, to mu i nic nie szkodzi, i lepiej nawet, żeby kurzył fajkę, niż aby zalewał pałkę gorzałką, co to jest trucizną najstraszniejszą. Kto już długo pali tytoń, to temu już nie łatwo porzucić lulkę, a w smutku i utrapieniu jakiem, to zdaje mu się, że lżej będzie, kiedy ma w zębach cybuszek. A Rusini to mają takie przysłowie, że jak kto jedzie w drogę, to powinien zakurzyć lulkę, aby żonie nie było markotno.

— A czemu to tytoniu sadzić nie wolno tak w ogrodzie jak inne ziele? — pyta dalej Tomasz.

— Bo widzicie — odpowiedział Szymon — jak już ludzie mocno poczęli kurzyć tytoń, to każdy monarcha aby mieć zysk, wydał zaraz takie prawo, że nikomu nie wolno sadzić i przedawać tytoniu, jeno jemu, tak samo, jak na przykład sól. Takie prawo to się nazywa monopol. Dawniej to na Węgrzech siali tytoń, ale teraz to i tam już nie wolno.

— Ale bo tego tytoniu, to jest moc gatunków — mówi Tomasz — a nieraz to i bardzo dużo kosztują pieniędzy.

— A nie inaczej — odpowiedział Tomasz — są tańsze i droższe gatunki, a już to najlepszy i najdroższy tytoń jest turecki prawdziwy, co taki żółciutki jak szafran, a cieniuchny i długi, jak włosy u białogłowy. Także i cygara są rozmaite, a nie jedne z nich to takie długie i grube, gdyby dobry sworzeń i moc pieniędzy kosztują. Po miastach to panowie na ulicach nie kurzą lulki jeno takie cygara.

— Tożto dopiero marny wydatek! — mówi Tomasz — tak z dymem puszczać grube pieniądze, co innego, kiedy człek sobie pali po trosze i za tanie pieniądze.

— Na tem to wszystko polega — odpowiedział Szymon — aby być zawsze umiarkowanym i niczego nad miarę nie używać. Kto dużo bardzo pali, to mu i na kieszeni i na zdrowiu szkodzi, ale kto w samą miarę, to nie ma się co i swarzyć o to. Zaś niech Bóg broni, aby dzieci paliły tytoń, jak to nieraz bywa, że młodzi chłopacy, co mają jeszcze mleko pod nosem, już ćmią tytoń i kurzą jak z komina. Dla młodych tytoń jest trucizną, a kto nie ma wąsa, temu i lulka nie do twarzy.

— Złote słowa mówicie Szymonie — rzecze Tomasz — ale ot i fajeczka mi już zgasła, a czas do domu. Dziękuję wam żeście mi o tym tytoniu trochę rozpowiedzieli. Teraz to już i drugich mógłbym pouczyć.

Tomasz wstał z ławy i odchodząc rzekł do Szymona:

— Nocujcież zdrowi!

— Panu Bogu oddaję! — odpowiedział Szymon — i poszedł każdy do swej chaty.

RADY GOSPODARSKIE.

Jak robić należy, aby się drzewka owocowe na złym gruncie przyjmowały?

Często dają się słyszeć skargi, że się młode drzewa owocowe nie przyjmują, a to z powodu, że im grunt nie odpowiada, osobliwie jeśli ten grunt jest taki, że jeno z wierzchu cienki płat dobrej ziemi się znajduje, a zaraz pod spodem ka-

mień lub piasek; przez co zasadzone młode drzewka wkrótce chorować zaczynają, i po nie długim czasie zupełnie niszczeją.

Ażeby tak się nie działo, kopali ludzie przy szczepieniu drzewek dosyć głębokie i obszerne doły, które dobrą ziemią napełniali, ale doświadczenia okazały, że i to nic a nic nie pomagało. Teraz to radzą płytkie sadzenie drzew, które już dawniej jeden xiądz w Bawaryi podług własnych doświadczeń wypróbował.

Miał ten xiądz zły bardzo grunt w sadzie, bo z wierzchu to jeno taka szmatka, jak gdyby dłoń, dobrego była gruntu a pod spodem, to już jeno czysty kamień i piasek, a potem woda. Oto cóż zrobił?...

W miejscu, gdzie miało być drzewo wsadzone, wbijał on mocny pal, zbierał ziemię wierzchnią i nasypywał ziemi lepszej; potem na południe od pala sadził drzewko, korzenie ściągał i ziemią dostatecznie zasypywał. Wszystkie tak sadzone drzewka ślicznie się rozwijały i rosły, i dużo piękniejsze były od drzew, według dawnego sposobu szczepionych.

Dobrą byłoby rzeczą przy takiem płytkiem sadzeniu drzew, ziemię po nad korzeniami w pierwszych latach liściem obkładać, któreby z początku za gorące promienie słońca i wysuszające zawiewy wiatru wstrzymywały, z czasem zaś urodzajność ziemi zwiększyły. Liście te można jeszcze gałązkami, a w zimie nawet nawozem okryć: Chociażby grunt urodzajnym był, to należy przecież nie głębokie lecz płytkie doły kopać, coby podobne były do miski. Wtedy korzenie nie będą wrastać w niższą, nieurodzajną warstwę ziemi, lecz będą się rozpościerać wzdłuż właśnie dobrej i pożywnej dla siebie warstwy; ponieważ zaś dostateczne i zdrowe znajdą pożywienie i cieplej im będzie niż wtenczas, gdyby głębiej leżały, więc drzewka duchem się przyjmą.

RÓŻNOŚCI.

Przedaje skórę, a niedźwiedź w lesie. Pewien kuśnierz potrzebował niedźwiedziej skóry.

— Nie turbuj się — mówili mu dwaj sąsiedzi — wybieramy się dziś na polowanie i ubijemy ci najpiękniejszego niedźwiedzia.

Umówiwszy się więc o cenę skóry, poszli do lasu. Nim się spostrzegli, potężny niedźwiedź, ruszywszy z swego łożyska, kroczy prosto ku nim. Nasze junaki, zapomniawszy targu, zamiast rzucić się na zdobycz, w spiesznej ucieczce bezpieczeństwa szukać umyślili. Jeden wlazł czemprędzej na drzewo, drugi przypomniawszy sobie, że niedźwiedź nie tyka trupów, nie mogąc zemknąć, położył się na ziemi, i zatrzymał oddech, udając umarłego. Niedźwiedź obejrzał go, obwąchał i poszedł. Wtenczas ten, co był na drzewie, zapytał go się, co mu tak niedźwiedź do ucha szeptał.

— Oto — rzekł tenże — że nie trzeba sprzedawać skóry, póki niedźwiedź w lesie.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.